SK 1. I. 21

Ucieczka z więzienia

W pierwszych dniach stycznia 1944 r. dostałem polecenie pojechania z Wilna do Warszawy. Był to już mój dziesiąty tego rodzaju wyjazd podczas okupacji niemieckiej. Jeździłem tam dość często, przede wszystkim w sprawach kwatermistrzostwa Komendy Okręgu w Wilnie Armii Krajowej.
Nie było to takie proste, gdyż przejazd przez granice wymagał specjalnej przepustki: jednej w Cranach do Reichu, drugiej w Małkini z Reichu do Generalnej Guberni. Trudno było prosić Hingsta, gebitzkomisarza na Wilno, o takie pozwolenie. Nasza Legalizacja rozwiązywała to dosyć prosto.
- Legalizacja to komórka konspiracyjna, która zajmowała się zaopatrywaniem ludzi podziemia we wszelkiego rodzaju dokumenty jak: dowody osobiste /Personalausweisy/, /zaświadczenia pracy, metryki, wszelkiego rodzaju przepustki i tp. Dzieliła się na "Kuźnię" - pracownię, która wyrabiała pieczątki i blankiety oraz "Gospodę" biuro, które wykonywało już konkretne dokumenty na zamówienia poszczególnych komórek.

W zależności od potrzeby dawała komplet dokumentów jakiejś niemieckiej organizacji wojskowej np. organizacji Todt wraz z kartą urlopową i opaską: "Im Dienst der Deutsche Wermacht". Jeszcze lepiej i bezpieczniej jechało się w mundurze wojskowym, nawet z karabinem /przypisek:dwaj młodzi kurierzy wileńscy w kolbie takiego karabinu mieli skrytki na przewożone meldunki i dokumenty/. Trudności były natomiast z nawiązaniem kontaktu z łączniczkami warszawskimi - narażało je to bowiem na miano "szwabskich ścierek".

Poza tymi dokumentami własnej produkcji mieliśmy przydzielone z Komendy Głównej specjalne przepustki zagraniczne, robione na wartościowych papierach dla Niemców w Berlinie, a dla nas podrabiane przez Londyn. Przepustki te były bardzo rzadko wydawane przez władze niemieckie i w dodatku skompromitowane w innych okręgach. W 1942 roku dwukrotnie jechałem na taką przepustkę. Przy przekraczaniu granicy w Małkini zdążyłem skonstatować, że na sześciu

przechodzących granicę, czterech posiadało nielegalne londyńskie "Durchlasscheiny", miały one kolor troszeczkę ciemniejszy od niemieckich. Od 1942 roku jeździliśmy wyłącznie na dokumenty wojskowe własnej produkcji. Takie papiery pozwalały zginąć w tłumie urlopowiczów w ich pociągach pośpiesznych, nawet było można przy tym korzystać z punktów wyżywienia na dworcach kolejowych oraz dostać suchy prowiant na drogę w postaci bułek, kiełbasy, sera, papierosów na odpowiednią ilość dni - w zależności od karty urlopowej.

W danym wypadku, na dwa dni przed wyjazdem, otrzymałem od Piotra - kierownika "Kuźni", a obecnie już całej Legalizacji - taki wojskowy komplet dokumentów. Obecny przy tym był "Strach" /inż. Edward Stefanowicz, dowódca szkoły niższych dowódców, chłopców z przerzutu i osłony, późniejszy dowódca kompanii szkolnej w 6-tej brygadzie "Konara"/. Gdy się dowiedział jakiego rodzaju są te dokumenty, był oburzony, że tak się naraża ludzi. Uważał, że trzeba się postarać o legalne dokumenty. Powiedziałem mu, że stale tak jeździmy. Zabrał moje aktualne dane wraz z zaświadczeniem z zakładu pracy, gdzie fikcyjnie byłem inspektorem-elektrotechnikiem i z energią pojechał wyrabiać dokumenty. Jak on to robił i ile go to kosztowało, nie wiem. Faktem jest, że następnego dnia wieczorem dostarczył autentyczne dokumenty na wyjazd do Warszawy w sprawie jakichś maszyn do fabryki napraw mundurów wojskowych, w której rzekomo pracowałem. Taki już był "Strach" - zawsze nieobliczalny.

W taki więc sposób na ostatni przejazd do Warszawy miałem autentyczne i legalne dokumenty na nielegalny dowód. W Cranach na granicy kontrola celna. Stary kapitan niemiecki pyta mnie ile mam pieniędzy. Wolno było przewozić tylko 500 marek. Wyjąłem portfel i przeliczyłem mu 10 banknotów po 50 marek, poza tym były drobne, do których się przyczepił. Powiedziałem, że nie biorę ich pod uwagę gdyż są bez znaczenia. Przez 20 minut pouczał mnie, że jeżeli jest rozkaz i pozwolenie na 500 marek, to nie może być nawet pół marki więcej.

Słuchałem tego "austrackiego", a raczej praskiego

gadania i myślałem sobie: - gdybyś ty wiedział, jak ja wysoko cenię te wasze rozkazy i zarządzenia.
W Białymstoku przesiadka. Skorzystałem z przerwy by nadać telegram do Zygmunta w Warszawie, uprzedzając go o swym przyjeździe i prosząc o zamówienie dla mnie konspiracyjnych spotkań z poszczególnymi komórkami. /Przypisek: Zygmunt - Kazimierz Augustowski był w tym czasie kierownikiem Bazy Wileńskiej w Warszawie/. Blankiet wypełniłem, jednak sformułowanie tekstu nie podobało mi się, zmiąłem więc papier w kuleczkę i chciałem wyrzucić do kosza na śmieci. Kosza nie znalazłem, na podłogę rzucić nie chciałem, więc wsunąłem ją do kieszeni. Ta nieszczęsna kuleczka papieru odegra w drodze powrotnej zasadniczą rolę. Dlatego to małe wydarzenie tak szczegółowo opisuję. Wypisałem nowy blankiet i nadałem. W Warszawie się dowiedziałem, że telegram ten nie doszedł do adresata.

Po przyjeździe do Warszawy pojechałem na melinę Zygmunta. Mieszkał wówczas przy ul. Glogera 4 m. 17 u pani Emilii Miłosz. Był moim najbliższym przyjacielem w tych konspiracyjnych czasach, sporo pięknych jak również i ciężkich chwil przeżyliśmy razem. Po wykupieniu go /wraz z 18-tu innymi/ z Gestapo przez jego matkę za sporą ilość złota, ulokowałem go na bazie okręgu wileńskiego w Warszawie.

Była to niejako ambasada okręgu wileńskiego przy K.G. na terenie Warszawy. Utworzenie tej bazy było moim pomysłem, rozbudował ją i doprowadził do perfekcji Zygmunt. Dostał za to pochwały z K.G., a innym okręgom polecono utworzenie podobnych baz. Zadaniem bazy było gromadzenie materiałów przeznaczonych dla okręgu w specjalnych magazynach i ekspediowanie ich wszelkimi możliwymi środkami do Wilna, lokowanie na terenie Warszawy członków i kurierów K.G. z Wilna i ułatwianie im kontaktów z odpowiednimi komórkami. Te spotkania ze starmy i wypróbowanym przyjacielem należały do najmilszych w czasie wojny. Długo w noc siedzieliśmy i omawialiśmy nowości wileńsko-warszawskie. P. Emilia Miłosz była również dobrą znajomą z czasów konspiracji z Wilna, zanim nie przeniosła się do Warszawy.

O ile pamiętam omawiałem wówczas w kwatermistrzestwie K.G. sprawy produkcji granatów, tak zwanych sidelek, którą mieliśmy dobrze rozwiniętą, sprawę podwyżki budżetu w związku z rozbudową oddziałów leśnych, z BIP-em sprawę drukarni polowej i inne. Po kilku dniach tą samą drogą i na te same dokumenty wracałem do Wilna. Do pociągu wsiadłem na dworcu Zachodnim, gdyż na Głównym czy na Wileńskim trudno się było dostać z powodu tłoku. Tłumy spekulantów szturmem zdobywały miejsca w wagonach.
Byli to ludzie, którzy zaopatrywali Warszawę w żywność po paskarskich cenach i sami z tego żyli. Dziwnym trafem pociąg przed graniczną stacją Małkinią zwalniał i z jakichś tam powodem zatrzymywał się. Większosc tych stałych pasażerów na tej trasie momentalnie spływała wydeptanymi ścieżkami w przytorowe krzaki i laski. W Małkini załatwiano formalności graniczne dla tych nielicznych, którzy jechali dalej na Białystok. W Białymstoku pociąg osobowy kończył swój bieg. Dalej już musiałem jechać transportem wojskowym.
W każdym transporcie wojskowym był jeden wagon z osłoną, składającą się z kilkudziesięciu żołnierzy. Przy pomocy wódki można było porozumieć się z dowódcą eskorty, by przyjął pasażera do swego wagonu. Tak i ja zrobiłem. Przy wódce dowiedziałem się, że eskorta składa się ze Ślązaków umiejących mówić po polsku. Dowódca, sierżant Werner, pochodził z Gliwic. Opowiadał mi o powstaniach śląskich i ubolewał nad obecną sytuacją Polski. Po dłuższym sondowaniu doszedłem do wniosku, że mogę zaryzykować propozycję zakupu broni. Sierżant zgodził się na to. Podałem dokładne ceny na granaty, pistolety i automaty zaznaczając, że jeżeli będzie większa ilość to zapłacimy więcej.

Pamiętam, że cena jednostkowa pistoletu automatycznego miała wynosić coś ponad 1000Mk /Ostmarek/, a przy większej zaś ilości nawet półtora tysiąca / w grę wchodziło niebezpieczne nawiązywanie kontaktów i przekazywania broni, dokładnie to samo groziło za jeden pistolet, co i za dziesiątki/. Sprawę kontaktu odłożyłem na pożegnanie, zauważyłem bowiem, że Werner po wypiciu zrobił się zbyt wylewny.

Położyłem się spać, gdyż noc już była późna, prosząc żołnierzy, by obudzili mnie przed Wilnem. Obudzili mnie w samym Wilnie, gdy pociąg już stał na stacji. Nie było więc czasu wracać do poprzedniej propozycji. Szybko zabrałem swoje rzeczy i wyskoczyłem na peron. Za mną wysiedli dwaj żołnierze z karabinami i szli razem ze mną do wyjścia. Poinformowałem ich, że dla wojskowych jest inne wyjście, mimo to szli ze mną dalej. Myślałem, że mnie nie zrozumieli i więcej na nich nie zwracałem uwagi, zadowolony, że już jestem na miejscu w Wilnie i to bez żadnych przeszkód.

Przy wejściu do gmachu dworca stał niemiecki żandarm i sprawdzał dokumenty przechodzących. Gdy pokazałem mu swoje, przejrzał je i kazał iść. Wówczas dwaj żołnierze, którzy szli ze mną, kazali mu zatrzymać mnie. Odpowiedział im, że dokumenty mam w porządku, lecz na ich wyjaśnienia zaprowadził mnie wraz z nimi do pomieszczenia żandarmerii na dworcu. Gdy zauważyłem, że żołnierze kazali mu mnie zatrzymać zrozumiałem natychmiast, że mnie sprzedają.

Hala dworcowa była pełna żołnierzy, na peronach również spore ich się kręciło, w przejściu stało dwóch żołnierzy z żandarmem, nie było więc żadnej szansy ucieczki. W pomieszczeniu żandarmerii, podczas gdy Werner /bo i ten się tu zjawił/ meldował o swoim Soldatenpflichcie, zdążyłem wyjąć z za wstążeczki kapelusza bibułkę japońską z notatkami i niespostrzeżenie zjeść ją. Zaraz nastąpiła szczegółowa rewizja, na którą byłem przygotowany. Gdy jednak wyjęli z zakamarków kieszeni kuleczkę papieru, zrobioną z nieszczęsnego telegramu i przeczytali ją, skamieniałem. Stałem zupełnie obojętny, choć wewnątrz huczała burza i rozpacz. Dalej,wbrew wszelkim przypuszczeniom i zwyczajom w takich okolicznościach,zabrali mi zwykłą brudną chusteczkę do nosa.

W szwie tej brudnej szmatki była ukryta maleńka czarna kuleczka nikotyny, ostateczny i niezawodny środek ucieczki i obrony. Pigułki te preparował Londyn, a dostawali je ci, którzy mieli dużo do powiedzenia. Nie wchodząc w to, czy użyłbym jej czy nie, posiadanie jej przy sobie na takie właśnie okazje sprawiało, że człowiek czuł się pewniejszym siebie. Ostatecznie każdy jednak zdawał sobie

dobrze sprawę z tego co go czeka, gdy się dostanie w łapy gestapo z dowodami winy, jak w danym wypadku. /Poprzednio Londyn przysyłał nam pigułki z cjanku potasu w gumowych kapsułkach. Były duże większe i niepewne. Wypróbowałem jedną na psie i okazało się, że duży wilczur jedynie zachorował, lecz nie zdechł/.

Po tych formalnościach żandarmerii wyprowadzili mnie wraz z Wernerem, wsadzili do samochodu i powieźli do centrali żandarmerii na ulicę Styczniową. W samochodzie Werner siedział obok mnie z automatem na kolanach. Eskortujący żandarm zwrócił mu uwagę, by automat odłożył dalej ode mnie. W centrali było dwóch oficerów, major i kapitan, starszych wiekiem i bardzo nobliwych. Po wstępnych wyjaśnieniach kapitan zasiadł do maszyny i pisał zeznania Wernera, który silnie podkreślając swój żołnierski obowiązek i oddanie Führerowi, opowiadał szczegółowo jak namawiałem go do sprzedawania broni z dokładnym podaniem cen. Pominął oczywiście swoje wynurzenia na temat Polski, powstań, jak również picie wódki. Blady i bardzo zdenerwowany nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Na końcu prosiły, by go szybko zwolnione, gdyż transport wojskowy, który eskortuje na front, czeka na niego na dworcu.

Doszedłem do wniosku, że w czasie gdy spałem w wagonie, Werner zwierzył się z moich propozycji swoim podkomendnym. Może nie wszyscy z nich czuli się Polakami, może wśród nich była hitlerowsko-gestapowska wtyczka, a może po prostu bali się prowokacji i zmusili Wernera do wydania mnie. Zupełnie już opanowany i spokojny czekałem aż skończy i wyniesie się. Dopiero gdy Werner był w drodze do swego transportu zacząłem zeznawać, będąc przekonanym, że nie prędko odnajdą go na rosyjskich frontowych bezdrożach, by mnie z nim skonfrontować. W takich wypadkach fantazja nie próżnuje, a cała sztuka w tym, by zeznania nie kolidowały z logiką.

Dość swobodnie opowiadałem im, jak za wódkę Werner zgodził się przewieźć mnie do Wilna. W drodze po-

ciągając nie wąsko, jak się to dzisiaj mówi, rozmawialismy o handlu i przemycie wymieniając towary, na jakich najlepiej można zarobić. Bez specjalnego nacisku dodałem, że najlepszymi znawcami w tej dziedzinie są Litwini Iniemieccy współpracownicy/. Ci właśnie spece wysokiej klasy twierdzą, że najkorzystniejsza spekulacja, to handel bronią. Tu podałem dokładnie "litewskie" ceny rynkowe. Kapitan, który spisywał na maszynie moje zeznania, zatrzymał się i z oburzeniem długo powtarzał: najlepsza spekulacja, to handel bronią ! Mówiłem sugestywnie i z dużym przekonaniem, że opowiadałem jedynie o sytuacji na rynku litewskim, a Werner pijany zle mnie zrozumiał, zwłaszcza, że nie najlepiej mówię po niemiecku. Zupełnie niewinnie dodałem, że prawdopodobnie i Werner, mając takie idealne warunki, handelkiem nie gardzi i dlatego tak chętnie/słuchał moich wywodów z tej dziedziny.
Starszy major nawet powiedział: rzeczywiście od niego czuć było wódką, on był pijany. I może pomyślał przy tym, że zeznań sierżanta nie może brać poważnie. Młodszy jednak urwał krótko: Der grösste Bandit; agent, skupujący broń dla bandytów w lesie. Kazali mi się rozebrać do naga. Będzie lanie - pomyślałem. Obejrzeli mnie dokładnie i kazali się ubrać. Prawdopodobnie szukali znaków szczególnych w postaci blizn po ranach.

Gdy kończyli protokół siedziałem na krześle i zastanawiałem się, co też oni ze mną zrobią. Siedziałem naprzeciw okna, przed którym na ulicy przechodzili ludzie. W pewnym momencie zobaczyłem Irenę Augustowską, siostrę Zygmunta /Kazimierza Augustowskiego/, którego adres warszawski znaleźli u mnie w kieszeni w kuleczce papieru/ przechodzącą przez ul. Styczniową na niedaleką ul. Kasztanową, gdzie mieszkała. Ten nieszczęsny adres był dla mnie największym ciosem.
Tymczasem major się ubrał i kazał mi iść z sobą. Prowadził mnie do gestapo, którego centralna siedziba znajdowała się na pl. Łukiskim, odległym jedynie o kilkadziesiąt metrów.
- patrz szkic placu Łukiskiego -
Potem przez wiele dni gorzko wyrzucałem sobie, że nie

spróbowałem wtedy uciec, mimo bardzo niekorzystnych warunków. W gmachu gestapo zebrała się cała sfera tajniaków, każdy przypatrywał mi się ze wszystkich stron i jakoś żaden nie rozpoznał Jelenka, którego znali dawno, jako wysokiego blondyna w okularach. Okularów wówczas nie miałem. Taki Giżauskas przysięgał kurierkom, które wpadły /Wojtusiewi-Basi Dudyczowej/, że będzie mnie miał przy swoim stoliku. Widocznie go tam nie było.

Jeden z nich zaczesywał mniw na różne sposoby, by odkryć we mnie coś znanego. Potem zaczęli studiować moje dokumenty i sprzeczać się między sobą, po czym poznaje się fałszywe. Pamiętam, że jeden z nich udowadniał iż fałszywy ausweiss ma jedną literę niedociśniętą. Te sprawy i mnie interesowały bardzo, więc i ja wsadziłem głowę między dyskutujących, by zobaczyć, po czym można poznać dowód naszej roboty. Dopiero brutalnie odepchnięcie mnie przez gestapowca uświadomiło mnie, gdzie i w jakiej sytuacji się znajduję.

Po wyprowadzeniu z gestapo wsadzono mnie do auta żandarmerii i odwieziono do więzienia łukiskiego. Tam po dokonaniu niezbędnych formalności skierowano mnie do celi więziennej. Najważniejsze z tych wiekami uświęconych formalności to szczegółowa rewizja osobista.

W drodze do celi zauważyłem, że mam na ręku mały zegarek, którego jakimś cudem nie zabrano mi. Nie wiem do dziś, jakimi motywami się kierowałem, gdy pokazałem go dyżurnemu i powróciliśmy do izby przyjęć, by go zdać. Ile razy w życiu ten fakt sobie przypominam tyle razy mówię sobie: - Idiota ! I chyba tak ocenili mnie wówczas stróże więzienni. Tego zegarka tak mi później brakowało. Wyfasowałem siennik, talerz i łyżkę i osiadłem w celi.

Drzwi z judaszem i karmnikiem ze złowrogim trzaskiem zamknęły się za mną. Pozostałem ze swoimi myślami i dwoma kolegami wspólnej kryminalnej celi. Byli to dwa starsze wilniuki z Nowego Świata. Jeden siedział za to, że nie mógł dokładnie rozliczyć się z ilości kocy w szpitalu, w

którym pracował, drugi niemniej ważne przestępstwo miał za sobą. Całymi dniami dyskutowali wspaniałym wileńskim narzeczem "w ta pora" o tym, czyje przestępstwo jest większe, kto ile dostanie i kiedy wrócą do domu. W przerwach mówili tylko o jedzeniu, w myśl przysłowia, że głodnemu chleb na myśli.
A głodni byliśmy stale.
W przeciągu kilku dni słyszałem kilkadziesiąt razy historię tego pamiętnego dnia jednego z nich. Przyszedłem do domu zziębnięty i zmęczony, opowiadał, w chałupie było ciepło, a żona gotowała zacierkę, taką gęstą na prawdziwym wiejskim mleku, bo miała znajomą na wsi, która jej to mleko przynosiła. Właśnie tę zacierkę nalała na talerze, taką pachnącą, dymiącą, gdy drzwi się otwarły i policja mnie zabrała. Zacierka pozostała na stole, żona z płaczem ledwo zdążyła dać mi pół bochenka chleba i kawałątko słoniny, jakie było w domu. Ze zgryzoty zjadłem to wszystko pierwszego dnia w "tiurmie". Taka smaczna, ciepła i gęsta zacierka pozostała na stole.
Nie będę opisywał jak ci dwaj przedstawiciele wileńskiego folkloru i swego rodzaju wygi, gdyż nie pierwszy raz jedli chleb więzienny, kombinowali machorkę, dodatkową zupę i przewidywali różne ważne zdarzenia, opierając się jedynie na snach. Najbardziej ciekawym jest to, że ich przewidywania, oparte na tak irracjonalnych podstawach jak sny, najczęściej się sprawdzały.

Wszystko to było dalekie ode mnie. Moje myśli płynęły burzliwym potokiem, a pytanie, co dalej będzie ze mną męczyło mnie ustawicznie. Po takiej wpadce mogłem się jedynie spodziewać jak najbardziej wyrafinowanych badań w gestapo i końca na Ponarach. Lasy na wzgórzach ponarskich były miejscem straceń, miejscem masowych straceń. Nikotynę mi zabrano, lecz na drugi dzień miałem już połowę żyletki, dobrze ukrytą w szwie kołnierza. Jeżeli nie wytrzymam tych gestapowskich metod, to pozostanie mi jeszcze możliwość podcięcia sobie żył. W każdej

chwili czekałem na wezwanie na badanie. Najbardziej męczyła mnie świadomość, że przejęto warszawski adres Zygmunta. Od rana do wieczora tylko o tym myślałem. Tak byłem tym pochłonięty, że nie czułem nawet głodu. Sto razy przemyśliwałem, co będzie, jeżeli u niego zrobią kocioł. Kto może wpaść i która z tych osób może się załamać ? Późno w noc, wykończony tymi rozważaniami, zasypiałem. Sen to najpiękniejszy czas w więzieniu. Jakie śliczne obrazy i wspomnienia z beztroskiego dzieciństwa wówczas przeżywałem. Zawsze później stwierdzałem, że w momentach ciężkich i zwrotnych w życiu, w snach wracałem do przeżyć dzieciństwa. Tym smutniejsze było przebudzenie w twardej więziennej rzeczywistości. Widocznie organizm bronił się w ten sposób przed samozatruwaniem się. Napięcie nerwowe stale wzrastało, ciągle czekałem na badania, które były nieuniknione, a z których chciałem się dowiedzieć, w jakim kierunku pójdą. Wyobraźnia przesuwała mi przed oczyma obrazy aresztowań w Warszawie, które mogły być powodem tej głuchej ciszy wokół mnie. Każdy, kto pracował w podziemiu, dobrze wie, jak straszną jest świadomość, że się jest powodem tortur i śmierci innych, zwłaszcza bliskich współkolegów, że zawaliło się sprawę, dla której wszyscy tak ofiarnie z narażeniem życia pracowaliśmy.

Po trzech dniach postanowiłem za wszelką cenę znaleźć sposób ostrzeżenia Zygmunta o zagrożeniu, okręgu zaś o moim aresztowaniu i miejscu pobytu. Nadarzyła się do tego dobra sposobność,

Czwartego dnia rano jeden z moich więziennych kolegów oświadczył, że chyba już dziś pójdzie do domu, bo śniło mu się, że dostał nowe buty i chodził w nich po ulicy. Ponieważ wszystkie okoliczności wskazywały na to, że jest on jedynie na krótko zatrzymany do wyjaśnienia jakiejś drobnej sprawy, więc na wszelki wypadek na malutkiej karteczce wykłułem /z braku ołówka/ meldunek następującej treści: Uprzedzić Zygmunta drogą radiową, że adres u Emilii wpadł. Pozdrowienia, Jelonek. Data. Pomogłem mu kartkę dobrze schować w ubraniu i podałem mu

jeden z moich adresów w okolicy jego mieszkania. Niewiele się zdziwiłem, gdy po obiedzie go wypuszczono. Kartka rzeczywiście trafiła do jednego z moich współpracowników i dość długą drogą służbową dotarła do "Ludwika " /ppłk. Lubomira Krzeszowskiego/ - zastępcy komendanta okręgu "Wilka". "Wilk" /płk. Aleksander Krzyżanowski -Kom.Okr./ był w tym czasie w terenie, wizytował jeden z oddziałów leśnych. Dla niego ten bardzo lakoniczny meldunek był zupełnie jasny, natomiast "Ludwik" tak zredagował treść depeszy do Warszawy, że jej tam nie zrozumiano. Być może dlatego, że depesza taka szła przez wiele rąk i była szyfrowana, a potem rozszyfrowywana. Depesze szły drogą Wilno - Londyn - Warszawa, a potem przez szereg ogniw pośrednich, zakonspirowanych do łączniczki z bazy wileńskiej włącznie. Wilno nie miało bezpośredniej łączności z Warszawą, gdyż łączność na wprost była zbyt daleka, a z odbicia krótkich fal za bliska, jak na sprzęt, którym dysponowaliśmy. Krótko: Warszawa znajdowała się akurat w martwej strefie i dlatego posługiwaliśmy się stacją pośrednią w Londynie.

Niezależnie od wysłania kartki wpadłem na pomysł, symulacji ataku ślepej kiszki. Taka choroba dawała szanse przeniesienia do szpitala na operację poza obręb więzienia, co stwarzało jakies możliwości ucieczki i wysłania kuriera do Warszawy.

Gdy raz się tej myśli uchwyciłem, skoncentrowałem wszystkie siły do jej zrealizowania.

Współwięźniowi poleciłem aby powiedział dyżurnemu, że nie jem, gdyż jestem chory i jedzenie jemu oddaję. Od niego też dowiedziałem się, jakie są objawy ataku ślepej kiszki. I tak się przejąłem tą rolą, że będąc u felczera więziennego dostałem gorączki. Kazał przyprowadzić mnie rano na następny dzień, gdy będzie lekarz. Prawie całą noc nie spałem, obmyśliwałem swoją rolę chorego przed lekarzem. Po sto razy powtarzałem sobie, co będę mówił lekarzowi, jak się będę zachowywał. Jak na jawie widziałem drogę z więzienia do szpitala św. Jakuba. Pomogła mi czteroletnia

codzienna włóczęga po wileńskich ulicach. Plan miasta, zwłaszcza jego centralnych dzielnic, mogłem rysować z pamięci, pamiętałem nawet usytuowanie poszczególnych domów. Rozważałem więc różne warianty ucieczki z trasy i przejścia przez bramy i ogrody daleko aż hen na drugi koniec miasta. Pamiętam, że było 5 czy 6 wariantów w pierwszej fazie. Każdy wariant, w zależności od okoliczności, rozgałęział się na wiele innych. Te intensywne obmyślanie dało mi dużo satysfakcji, za mgłą widziałem wolność i możliwość działania z przerzuceniem się do Warszawy włącznie, gdyby tego zachodziła potrzeba. Przypuszczałem, że na tak krótkim odcinku, gdyż szpital był zupełnie blisko, poprowadzi mnie jeden strażnik. W dogodnym momencie strzelę go z całej siły w oko, koniecznie w oko, i w nogi. Kilka razy złapałem się na tym, że przy tych rozważaniach macham z całej siły ręką z zaciśniętą pięścią. Cały ranek już tylko o tym myślałem. Jasne, że śniadanie ukradkiem zjadłem, by nie opaść z sił. Kolega po niedoli, jakim by on nie był, solidarnie mi pomagał. Około jedenastej wyrwał mnie głos dyżurnego, wzywający do lekarza. Kości rzucone, wszystko zależy od dobrego zagrania i zagrałem chyba dobrze / nie wiedziałem wówczas, że lekarz również był "Naszym" - człowiekiem z "Bazy" Oddział Kadywu/.

Oczywiście lekarzowi nie mówiłem o ślepej kiszce, prosiłem jedynie, a raczej wprost błagałem o lekarstwo na ból brzucha, gdyż trudno to dłużej znosić. Lekarz długo badał, obmacywał, naciskał, a ja w odpowiednich momentach pojękiwałem, mówiłem jak ten ból, po nagłym odjęciu palca naciskającego na podbrzusze, rozchodzi się promieniście, wreszcie powiedział:

- Nie o uśmierzanie bólu tu chodzi, ale o życie. Potrzebna jestm natychmiastowa operacja ślepej kiszki.

Całą siłą woli wstrzymywałem się od okazania radości, raczej udawałem przerażonego i zgnębionego tą wiadomością. Poszedłem skulony z bólu do celi i czekałem na odesłanie mnie do szpitala. W wyobraźni, jak film przyśpieszony, płynęły szczegółowe obrazy, tak dokładnie przepracowanego planu. Ileż radości z pierwszych sukcesów tej

wielkiej gry!

Przed godziną trzecią przyszedł do celi inny dyżurny, młody Litwin umiejący dobrze po polsku, by mnie zabrać do szpitala. Jako poważnie choremu, pomógł mi pozbierać rzeczy, z którymi wlokłem się powoli, skrzywiony z bólu, przez długie korytarze i podwórza, gdy wewnątrz krzyczało się z radości. Ponosiło mnie, by tylko prędzej wydostać się z tych przeklętych i ponurych murów.

Po zdaniu siennika, miski i łyżki zaprowadził mnie do biura więziennego, gdzie wydano mu jakieś dokumenty. Po schowaniu dokumentów zabrał pistolet i wsadził go do wewnętrznej kieszeni cywilnego płaszcza.
To mnie bardzo ucieszyło gdyż z doświadczenia wiedziałem, jak trudno szybko wyjąć pistolet z wewnętrznej kieszeni.

Urzędnicy z politowaniem na mnie patrzyli, co mnie cieszyło jak aktora, któremu dobrze idzie gra, a gra szła o wysoką stawkę. Przed bramą więzienia mój anioł stróż wyjął pistolet z wewnętrznej kieszeni płaszcza i nie śpiesząc się włożył go do prawej kieszeni bocznej.

Zdążyłem się zorientować, że to siódemka belgijska F.N. Trochę mi to nie było na rękę, ale zbytnio tym się nie przejąłem. Druga niespodzianka była bardziej przykra - dyżurny poszedł po mojej prawej stronie, gdy w wyobraźni i w swoich obliczeniach miałem go z lewej strony i z całej siły waliłem w oko prawą ręką. Łatwo zrozumieć, ile od tego ciosu zależało, a tu przyjdzie się rąbać go niezręcznie z lewej ręki. I to mnie nie załamało. Posuwaliśmy się powoli ulicą Więzienną w kierunku pl. Łukiskiego.

W pewnym momencie mój opiekun spytał mnie, czy będę uciekał. Zamiast odpowiedzieć zapytałem go, czy operacja ślepej kiszki, to ciężka sprawa. Niezręcznie mi było teraz, gdy tylko czekam na dogodny moment by go huknąć w gębę i uciekać, zapewniać go, że nie będę tego robił.
On widocznie myślał, że wziąłem to pytanie za żart i nie odpowiedziałem, bo jak taki chory niedołęga mógłby uciekać.
Tymczasem doszliśmy do rogu ulicy Pańskiej. Pierwsza prze-

widywana możliwość prysnięcia odpadła z tej prostej przyczyny, że zbliżyło się do nas trzech innych strażników więziennych, w tym jeden z automatem na piersiach. Coś nawet na mój temat mówili po litewsku z moim konwojentem. Było to między trzecią i czwartą - i to był chyba największy pech.

Weszliśmy na duży plac Łukiski. Tutaj nie było gdzie uciekać, ogromna pusta przestrzeń, której jeden bok zajmował ponury gmach gestapo, z lewej strony plac targowy nad Wilią, przede mną kościół i szpital otoczony wysokim murem.

Przepłynięcie Wilii w styczniu nie było w moich planach i do niej był spory kawałek pustej przestrzeni. Pozostał jeszcze jeden atut, drugi narożnik placu Łukiskiego, przy ul. 3-Maja. Było to miejsce najbardziej chyba dogodne. Trzy uliczki były pod ręką: Kasztanowa, Św. Filipa/obie ślepe zakończone ogrodami/ oraz Świętojakubska, teren wyjątkowo dobrze mi znany gdyż tutaj mieszkało sporo moich przyjaciół, między innymi Zygmunt ze swymi siostrami i matką.

Dochodzimy. nerwy napięte, serce bije przyśpieszonym i mocnym rytmem, patrzę zezem na strażnika, już naciskam pięść i sprężam się ... i widzę jak naprzeciw nas z ulicy Świętojakubskiej miarowym krokiem wychodzi trzech żandarmów niemieckich z automatami i blachami na piersiach.

Do żandarmów mam wyraźnego pecha, przemyka mi przez głowę jak błyskawica. Zaraz też wchodzimy do bramy szpitala, gdzie również jest jakaś straż. Teraz jestem zupełnie bez planu, lecz z perspektywą wycięcia mi zdrowej ślepej kiszki, a z rozpatroszonym brzuchem trudno mi będzie uciekać. Nie tylko chorobliwą, ale i głupią minę musiałem wówczas mieć. Zaprowadzono mnie do izby przyjęć, jakiś chirurg litewski mnie badał, musiałem konsekwentnie dalej symulować atak ślepej kiszki. Lekarz po zbadaniu kazał przygotować salę operacyjną i wyszedł. Dyżurny siedział znudzony w kącie, mało go to wszystko obchodziło. Koło mnie krzątał się jakiś sanitariusz. Spytałem go cicho, by litewski cerber nie słyszał - Polak ? - Polak - odpowiedział. Proszę natychmiast biec na ul. Garbarską 4 i powie-

dzieć Marianowi Czechowskiemu /Szary/, że Jelonek jest w szpitalu przed operacją na ślepą kiszkę. Bez wahania znikł. Siostry tymczasem robiły przygotowania przedoperacyjne. Po pewnym czasie wrócił lekarz i zaczął się przebierać. Gdy mył ręce, wpadli do sali Piotr i Szary -
- Piotr "Żmudzin" /Edward Nowosielski/-pracownik komórki Przerzutu i Magazynów,
- Szary /Marian Czechowski/- kierownik Przerzutu i Magazynów.

Sanitariusz dobrze się spisał, lecz nigdy się nie dowiedziałem, kto to był. Piotr i Szary podbiegli do mnie z pytaniem, kiedy zachorowałem. Piotr- Żmudzin, który dopiero w Wilnie nauczył się mówić po polsku, coś tam powiedział strażnikowi po litewsku - pewnie, że są krewnymi skazańca na porżnięcie. Po cichu powiedziałem mu, że to lipa. Co doktór Lipa ? Nie znał niuansów języka polskiego. Musiałem mu dokładnie wytłumaczyć, by wszystko zrobił, aby nie doszło do operacji. Operacja została odłożona. Mnie odprowadzone do izby przyjęć, zabrane ubranie, wykąpane i już w bieliźnie szpitalnej położona na ogólnej sali. Łóżko dostałem na interwencję dyżurnego przy samych drzwiach, by mógł mnie widzieć z korytarza, gdzie się na podanym mu krześle ulokował. Drzwi były stale otwarte, chyba i to było życzeniem władz więziennych. Z dużą ulgą ulokowałem się na wygodnym łóżku i zupełnie nie zwracałem uwagi na wlepione we mnie oczy, a musiała być to nie lada sensacja dlatych znudzonych chorych.

Sprawy potoczyły się tak, że musiałem wypracować zupełnie nowe plany. Najważniejsze, że koledzy już wiedzą, iż jestem aresztowany w Wilnie. Byli przekonani, że coś mnie zatrzymało na dłużej w Warszawie. Wiem, że zrobią wszytsko, by mnie wyrwać z tej opresji, w jaką się wpakowałem. W niecałą godzinę później salę obchodził młody ksiądz w komży, którego znałem, gdyż w jego mieszkaniu mieliśmy lokal spotkań. Zatrzymał się przy moim łóżku, zamienił kilka zdań i dyskretnie wsunął dwie kanapki pod kołdrę. Zrozumiałem, że chorego musiałem grać w dalszym ciągu, więc

kanapki skonsumowałem dopiero gdy wszyscy już spali. Jakie one były smaczne po więziennym, dożowanym chlebie. Z powodu tych chorobowych okoliczności nie tknąłem również kolacji szpitalnej. Wieczorem wszystkim chorym siostra rozdawała termometry, by zmierzyli temperaturę. O ile się zorientowałem, to oficjalnym powodem odłożenia operacji była temperatura, należało więc ją mieć. Potrzeba jest matką wynalazków, a z fizyki wiadomo, że tarcie wywołuje ciepło, wystarczy więc banieczkę rtęci potrzeć, by temperatura się podniosła. Trzeba to jednak tak zrobić, by inni tego nie zauważyli i co ważniejsze - nie przesolić gdyż bardzo łatwo temperaturę podnieść do 42 stopni, a trudno przypuszczać, by słudzy Eskulapa w to uwierzyli, nawet w wojennych warunkach. Podnocić temperaturę trzeba było w sposób kontrolowany. Odwróciłem się więc do ściany i dyskretnie obserwując termometr doprowadziłem słupek rtęci do 38 stopni. Taką temperaturę odnotowała siostra. Na korytarzu kręcił się i flirtował z siostrami mój opiekun. Poszedłem na zwiady w przydzielonym mi szlafroku. Moja sala była na jednym końcu korytarza, a ubikacja i łazienki na drugim. Szedłem do ubikacji, a mój opiekun, już nowy, za mną. Do ubikacji nie wszedł, pozostał na korytarzu przed drzwiami. Okna były zasłonięte szczelnie, obowiązywało bowiem zaciemnienie. W drodze powrotnej znowu mi towarzyszył.

Zasnąłem bardziej optymistycznie nastrojony z przekonaniem, że rano nie zbudzi mnie przeraźliwy gwizdek na poranny apel więzienny. Po śniadaniu podeszła do mnie siostra gospodarza, bardzo przystojna brunetka, i z uśmiechem podała mi ręcznik. W ręczniku znalazłem karteczkę od Szarego. Pisał, bym był spokojny, gdyż zrobią wszystko, by mnie uratować. Na karteczce, nie pamiętam jak mi ją doręczono, napisałem, że dziękuję za obietnicę pomocy, gdyby jednak moja ucieczka czy odbicie miały narazić innych na aresztowanie, to proszę żeby się zbytnio nie angażowali. Pojadę na Ponary, gdy nie można będzie inaczej. Proszę natomiast bardzo o ostrzeżenie Zygmunta.

Komendant "Wilk" /płk. Aleksander Krzyżanowski/ zrozumiał to, że nie chcę uciekać, tak mi przynajmniej potem powiedziano. Przy świetle dziennym obejrzałem przez okno ubikacji podwórze szpitalne od strony ulicy Świętojakubskiej. Ponad murem widziałem ulicę, a na niej zwyczajny codzienny ruch. Aż gorąco mi się zrobiło, gdy uświadomiłem sobie, że wolność jest tak blisko.
Nim doszedłem do sali na swoje miejsce, mój plan w zarysach był już gotowy. Po pewnym czasie poszedłem jeszcze raz obejrzeć pomieszczenia i utwierdziłem się w przekonaniu, że sprawa nie będzie trudna. Zajrzałem do łazienki - - była otwarta - dyżurny zaś spokojnie czekał na korytarzu.
Po powrocie napisałem kartkę z prośbą, by następnego dnia o godzinie ósmej wieczorem czekano na mnie z płaszczem i kapeluszem pod oknem ubikacji, ewentualnie pod murem szpitalnym. Po południu zjawił się u mnie w białym szpitalnym płaszczu "Wrzos" /Dzida Kafarska/ w roli narzeczonej. O niej mogę tylko powiedzieć tyle, jak mówi przysłowie: "gdzie diabeł nie może, tam babę pośle", sprawdziło się zawsze, gdy ona postanowiła gdzieś dotrzeć. Przestawiła mi zegarek i sprawdziła mój plan. Również jako siostra w białym kitlu docierało do mnie "Myszka" /Helena Zielewiczowa - siostra Szarego/.
Chorych wizytował codziennie lekarz w dość dużej asyście, nazywano go profesorem. Zapytał mnie uprzejmie po polsku, jak się czuję, spojrzał na kartę jaką mam temperaturę i już po litewsku kazał wstrzymać się z operacją ze względu na tę temperaturę, tak przynajmniej to zrozumiałem. Był uprzedzony i miał formalnie nakaz nie robienia operacji - w takiej formie rozmawiał z nim "Żmudzin" - Edward Nowosielski i "Wrzos" - Dzida Kafarska.
Przyszedł wieczór, znowu podniosłem temperaturę przy pomocy praw fizycznych.
Po godzinie czwartej nastąpiła zmiana dyżurnych. Nowy okazał się dużo gorszy. Śledził mnie nieustannie złowrogimi oczami, śledził też wszystkich, ktokolwiek się tylko zbliżył do mnie, doprowadzał mnie do ubikacji i wchodził do

środka. Ten na pewno przekreślał prościutki mój plan. Później dowiedziałem się dlaczego był taki ostrożny. Przed dwoma miesiącami uciekł mu jakiś więzień, więc teraz i na zimne dmuchał.
Dyżurni zmieniali się co osiem godzin. Prosty rachunek wskazywał, że na następny dzień wieczorem zmianę obejmie liberalny dyżurny, więc plan powinien się udać. Na następny dzień powtórzyła się historia z temperaturą, obchodem lekarzy i kontaktami z przyjaciółmi. Ustaliłem, że w łazience klucz będzie włożony do wewnątrze, by po wejściu do niej można się było odrazu zamknąć. Na oknie za zasłoną będzie przygotowana latarka elektryczna, którą mam błysnąć trzy razy przed wyskoczeniem.
Oczy dyżurnego stale mnie śledzą, ukradkiem śledzę zegarek, wskazówki wyjątkowo wolno się przesuwają. Dochodzi godzina czwarta, drański dyżurny nerwowo chodzi po korytarzu, a zmiany nie ma. Teraz już i dyżurny często spogląda na zegarek - zmiana nie nadchodzi. Minuta za minutą wloką się, jest już godzina siódma, zaczynam tracić nadzieję, czy w ogóle przyjdzie. W pewnym momencie siostra gospodarza przechodzi korytarzem przed drzwiami i lekkim skinieniem głowy daje znać, że wszystko gotowe. Trudno opisać, jak ja to przeżywałem. Koledzy pomyślą, że stchórzyłem, a w tym czasie tego rodzaju posądzenie najwięcej bolało. Przeszła godzina ósma i zmiana nie przyszła. Zdawałem sobie sprawę, jaki kawał urządzam kolegom, jednak przez zbytni pośpiech i ryzyko nie chciałem całej sprawy popsuć. Myśl, że już dziś mogłem zająć się osobiście sprawą Zygmunta, gdyby nie ten kawał dyżurnego, sprawiała mi wprost fizyczny ból.
Z przykrością uświadomiłem sobie, że czeka mnie nowy długi dzień udawania, lawirowania i nowych niespodzianek.
Rozumiałem i to, że lekarze mieli również trudny orzech do zgryzienia, gdyż jak wytłumaczyć władzom więziennym fakt, że więzień wysłany na konieczną szybką operację, leży od kilku dni w szpitalu bezczynnie i kontaktuje się z wolnymi. Dwóch dyżurnych jest zajętych pilnowaniem go w specyficznych warunkach. Przewidywania moje były najbardziej słuszne.

Następny dzień był niedzielą, z rachunku wypadało, że wieczorem będzie służbista więc ucieczka przy jego dyżurze praktycznie niemożliwa, chyba, że znowu zajdzie jakaś niespodzianka, tym razem na moją korzyść. Biednemu więźniowi wiatr w oczy, żadnej niespodzianki nie było i ucieczki również. Obawiałem się, że nerwowo się wykończę i zrobię jakiś fałszywy krok. Na następny dzień przy obchodzie profesor tylko spojrzał na temperaturę i powiedział, że dziś będę miał operację. Siostrom kazał wszystko przygotować do tego. Wiadomość, mimo, że była spodziewana, zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. Czułem się jak tonący, któremu wymyka się deska ratunku. Zgnębionym głosem powiedziałem: Panie profesorze, widzę, że operacja źle się dla mnie skończy. Dlaczego - pyta. W poniedziałek spotykały mnie największe nieszczęścia: w poniedziałek się urodziłem, w poniedziałek oblałem maturę, w poniedziałek mnie aresztowali i w poniedziałek mnie zarżniecie. Wszystko to było blagą, ale czwyt był dobry, obecni się rozesmieli, a profesor powiedział: w takim razie operację odłożymy do wtorku. Teraz już stanowczo sobie powiedziałem: porżnąć się nie dam niezależnie od okoliczności. Ktokolwiek by dziś dyżurował, skaczę i uciekam. Z zewnątrz płynęły zapytania, co się stało, dlaczego nie skakałem ? Musiałem się tłumaczyć, wyjaśniać, że to przypadek, że nie z mojej winy i td., a wszystko to było już mi wstrętne. Tym razem zmiana nastąpiła normalnie, liberalny dyżurny zjawił się na czas. Dla wprawy spacerowałem po korytarzu i z konieczności wdałem się z nim w rozmowę. Mówiłem mu, że idę na stół, więc będą mieli ze mną spokój. Tutaj czekała mnie niespodzianka. Dyżurny wprost prosił mnie, bym mu nie uciekał. Ja mam żonę i dzieci - mówił. Udowadniał mi, że jeżeli nawet ucieknę, to pozostanie mi tylko pójście do lasu, do bandytów. Miał na myśli nasze leśne oddziały - partyzantkę. Jednego nie wiedział, że sam się tam wyrywałem, bo miałem już dość tego czajenia się i chytrzenia przez cztery lata. Nie zapewniałem go, że nie będę uciekał, Nie wiedział, że czekają mnie Ponary, jeżeli nie ucieknę,

a kto z pod rozstrzału nie będzie uciekał, jeżeli tylko będzie miał jakąkolwiek możliwość ? Może widział jakiś ruch wokół mnie, może mu Litwini,pracujący w szpitalu, powiedzieli, że tu się coś święci.
Wiedział jak silna jest polska organizacja podziemna, więc się po prostu bał przeciwstawić. I miał rację.
Strach /kpt.inż. Edward Stefanowicz/, który był w obstawie, powiedział gdy nie udało mi się wyskoczyć: - Tu nie ma na co czekać, trzeba wejść do środka z bronią, barbosa zadusić, a jego t.zn. mnie zabrać. Nie zdecydowano się narazie na to, gdyż zbyt wielu ludzi mogło być narażonych na represje. Samodzielna ucieczka nikogo nie narażała oprócz uciekającego, któremu i tak nic już nie mogło zaszkodzic, Nie mogłem doczekać się godziny ósmej, co raz częściej patrzyłem na zegarek, mimo, że nakazywałem sobie tego nie robić. Najważniejsze, by dyżurny niczego nie zauważył.
W związku z przygotowaniem mnie do operacji na następny dzień rano, dyżurna siostra zrobiła mi lewatywę. Chyba pierwszy raz w życiu zastosowano mi tego rodzaju zabieg i byłem tym bardzo speszony. Dostałem spore pigułek, które na wszelki wypadek wyrzuciłem do spluwaczki, oczywiście tak, by nikt tego nie zauważył. Potem siostra zmierzyła mi temperaturę. Tym razem nie robiłem już kawałów z termometrem. Na łóżku leżałem spokojnie, udając że drzemię. O godzinie ósmej dla uspokojenia się jeszcze trochę poczekałem, potem się podniosłem i wyszedłem na korytarz. Zupełnie powoli, nawet ociężale szedłem w kierunku ubikacji. Dyżurny wstał z krzesła i poszedł za mną. Udałem, że go nie widzę i zupełnie nie wzracam na niego uwagi. Otwierając drzwi i wchodząc do środka zauważyłem, że mój więzienny anioł stróż zatrzymał się pod oknem na korytarzu. Spokojnie zamknąłem drzwi, potem szybko wbiegłem do łazienki, przekręciłem klucz i hop na okno za zasłonę. Znalazłem tam latarkę elektryczną i mimo zasłony okno otwarłem bez trudu. Trzy razy błysnąłem latarką i żadnej odpowiedzi z nieprzeniknionej ciemności. Tego momentu, gdy stanąłem na oknie,

chyba nigdy nie zapomnę. Za mną więzienie, badania i Ponary, przede mną wolność i koledzy. Skoczyłem w ciemność i choć zdawało mi się, że za długo lecę, wylądowałem szczęśliwie. Okazało się, że źle oceniłem odległość. Teren szedł pochyło i okno w łazience było dużo wyżej aniżeli w ustępie. Zaledwie podniosłem się z ziemi, gdy ktoś do mnie przyskoczył i podał mi kurtkę i pistolet. Po wielkości i ciężarze wyczułem belgijską trzynastkę kaliber 9 mm - pistolet policji litewskiej. Pobiegliśmy w stronę trupiarni, gdzie była odbita deska w ogrodzeniu. Po drodze słyszałem głosy obstawy: - Wszystko w porządku. Przy płocie znalazł się "Wilk", który przed tym wpadł na stróża szpitalnego. Gdy tenże zapytał co robi na terenie szpitala "Wilk" podstawił mu pod nos pistolet.

- Panie, ja też Polak - powiedział stróż i odszedł.

Niedaleko za płotem stał samochód "Stracha". Już trzeci wieczór czekał tutaj na mnie. Przy samochodzie Stary, jak myśmy "Wilka" nazywali, kazał się wszystkim rozejść, zdenerwowany szukał swojej teczki. Gdy mu ją podali wsiedliśmy do samochodu i ruszyli bez świateł. Po kilkudziesięciu metrach o mało nie wpadliśmy na żelazną barierę, w ciemności zupełnie niewidoczną. W ostatnim momencie "Strach" gwałtownie zahamował i zgasił motor. Przez długi czas na próżno piłował rozrusznikiem. Proponowałem wyjść i spróbować zapalić korbą. Na szczęście motor w końcu zaskoczył. Zdenerwowanie było uzasadnione, z przodu mieliśmy Gestapo, z prawej więzienie, z lewej szpital, w którym strażnik zrobił już alarm. Ulicą Mickiewicza i przez most pojechaliśmy na Zwierzyniec. W samochodzie szybko się przebrałem, wszystko było prócz marynarki - drobiazg w tej sytuacji.

Przez Śnipiszki, przecinając ulicę kalwaryjską dostaliśmy się na Piróment. Tutaj zatrzymaliśmy się, podziękowali i pożegnali "Stracha". Teraz zorientowałem się, gdzie mnie Stary chce ulokować, Legalizacja miała tu swój lokal podziemny w oddzielnym dworku nad Wilią. Połowa piwnic została odcięta od reszty, wejście było

zrobiono przez salon, bogato umeblowany antykami. Jeden z kwadratów parkietu pod dywanem, za pociśnięciem sprężyny w plintusie pod ścianą /szydłem/, otworzył się i to było jedyne wejście do tych pomieszczeń. Elektryczność i woda była niezależna. Były tam dwa pomieszczenia: cynkografia i wykończalnia pieczątek wraz ze stołem dla grafika i prasami do odbijania blankietów z płyt cynkograficznych. Pracownicy mogli przychodzić i wychodzić tylko wtedy gdy noc zapadła. Niesamowite wrażenie robiła ta pracownia wewnątrz. Po kątach prycze do spania, na stołach pieczęcie w robocie, blankiety, najrozmaitrze narzędzia, pistolety, chleb i granaty, wszystko to pomieszane razem. Wybitnie artystyczny nieład - plastycy tam pracowali. W takiej to melinie "Wilk" chciał mnie przechowywać przez pierwszy okres.

Osobiście nigdy bym tak ważnego i cennego lokalu nie narażał dla przechowywania spalonego człowieka, jak również sam Komendant Okręgu "Wilk" nie miał prawa narażać się przy odbijaniu więźnia. Miał do dyspozycji, do tego celu specjalne komórki, a przede wszystkim Kedyw. Upłynęła chyba na to moja długa współpraca z nim, bo od listopada 1939 roku.

Pracownicy tego lokalu, pierwsi, jakich angażowałem do pracy konspiracyjnej jeszcze w 1939 r. byli zarazem najbliższymi kolegami. Właścicielką tego lokalu była Halina Nowicka, żona rotmistrza, który walczył z Niemcami gdzieś na zachodnim froncie. Lokal ten w kilka miesięcy później został zasypany przez jednego z pracowników, który przypadkowo wpadł. Właścicielka tak jak stała uciekła z dziećmi i matką i z Legalizacji przeniosła się do produkcji granatów. Niemcy orzekli, że lokal urządzony był jak w bajce i w gestapo urządzili specjalną wystawę z jego eksponatów, by na nich uczyć swych ludzi.

Do takiego to domu wchodziłem bez maryny.

Starsza pani przyzwyczajona do przestrzegania form towarzyskich, była trochę zaszokowana moimi brakami w wizytowym stroju. Po pewnym czasie przyszedł Piotr, konspiracyjny gospodarz lokalu. Gdy my jechaliśmy samochodem,

on rowerem wracał z wyprawy. Atmosfera była jak najlepsza, wszyscy zadowoleni z mojej udanej ucieczki. Teraz dopiero dowiedziałem się,co było w teczce, o którą Stary denerwował się przy samochodzie. Wyciągnął z niej dwie konserwy i butelkę koniaku. Tak był pewny udanej akcji, że z góry przygotował to dla jej uczczenia. Panie przygotowały kolację i długo w noc ciągnęły się opowiadania. Atmosferę tego może zrozumieć ten jedynie, kto przeżył taki powrót prawie z tamtego świata. Wrócę teraz do Zygmunta. Przez wiele lat takiej lisiej pracy wyrobił się w człowieku instynkt wyczuwania niebezpieczeństwa. Jeszcze w 1942 roku, podczas pobytu w Warszawie, opanował mnie taki niepokój i przekonanie, że w Wilnie stało się nieszczęście, że natychmiast pojechałem z powrotem i na miejscu dowiedziałem się o wielkiej wsypie 18-tu osób, między innymi Zygmunta i jego siostry. Znaleźli przy nich materiały konspiracyjne, groziło im wszystkim rozstrzelanie. Całą grupę uratowała wówczas matka Zygmunta, przekupując kogo trzeba złotem. Później była to najlepsza i najpewniejsza droga wykupu. Poważna i kulturalna matrona, wielka humanistka i patriotka, budziła zawsze zaufanie i szacunek nawet u wrogów. Teraz, mimo że pojechałem do Wilna na legalną przepustkę, Zygmunt wysłał za mną następnego dnia kurierkę. Przyjechała do Wilna, zeszła do jego matki i stwierdziła, że nie dojechałem. Trzy transporty wojskowe na tej trasie wyleciały w tym dniu w powietrze. Przez innego człowieka stwierdził, że mnie tam nie było, jak również, że nie zostałem aresztowany na granicy.

Zupełnie logicznie doszedł do wniosku, że zostałem aresztowany na dworcu w Wilnie. Wiedząc już, że siedzę, postanowił przyjechać do Wilna i próbować mnie wyciągnąć, albo odbić. Przekazał sprawy Bazy zastępcy, zameldował, że jedzie do Wilna i wyruszył w drogę. On dla odmiany jeździł w mundurze lotniczym, gdyż miał dokumenty pomocniczej organizacji wojskowej, której zadaniem było maskowanie lotnisk w Mińsku, Lidzie i td. Cała organizacja znajdowała się w rękach polskich, dysponowali nawet własnymi samochodami. W drodze trapił go jedynie problem, jak trafić

szybko do moich chłopców z bronią.

Do Wilna przyjechał późnym wieczorem, na stacji wsiadł do dorożki i kazał się zawieść na ulicę Kalwaryjską. Jechał w mundurze niemieckim, pod obcym nazwiskiem, w nocy, przy kompletnym zaciemnieniu. Gdy zapytał, ile ma zapłacić za kurs, dorożkarz odpowiedział: -

- Panie Augustowski, pan wie, ile należy się za taki kurs. Nie wiele była warta konspiracja jeżeli zwykły dorożkarz po ciemku rozszyfrował wilniuka nawet w mundurze niemieckim.

Przyjechał na trzeci dzień po mojej ucieczce, o czym odrazu się dowiedziałem. Bardziej radosnej wiadomości nie mogłem otrzymać. Już na drugi dzień wieczorem, gdy w dzień nie mogłem się poruszać po Wilnie, naznaczyliśmy sobie spotkanie. Nie będę się nawet silił na opisanie powitania, pytań, odpowiedzi.

Nieliczne były takie szczęśliwe dni w czasie wojny. Niemcy zbagatelizowali znaleziony adres. Każdy, kto pracował w konspiracji wie dobrze, jak wielkie znaczenie miała obawa, by swoim postępowaniem nie narazić, nie zasypać kogoś, nie zaszkodzić pracy konspiracyjnej.

Uświadomiłem sobie sprawę, że pierwszą i ostatnią przyczyną mojej ucieczki było zagrożenie Zygmunta. Nie stało się tak, jak mi sugerował bojący się dyżurny. "Wilkowi" odrazu postawiłem alternatywę: albo mnie wyśle do oddziałów leśnych, albo na pracę konspiracyjną do Warszawy. Rozstrzygnął krótko: pozostaniesz na miejscu, lecz nie wolno ci będzie poruszać się w dzień po ulicach Wilna. W rezultacie w dzień urzędowałem w zmienianych ciągle lokalach, chodziłem dopiero po zapadnięciu zmroku. Gdy zaszła konieczność przerzucałem się małym fiacikiem 507. Zawsze z przyjemnością wyjeżdżałem do oddziałów leśnych, a robiłem to co raz częściej, by wreszcie w końcu maja 1944 roku, wraz z całym sztabem, przenieść się na stałe w teren i zacząć nowy rozdział już otwartej walki z wrogiem.

Dodam jeszcze, że profesor chirurg po mojej ucieczce powiedział: teraz wiem dlaczego poniedziałek jest dla niego pechowy.

Koleżanki skleciły jakiś tort i posłały mu go w dowód wdzięczności za lojalne podejście do mojej choroby. Siostrze gospodarczej odesłano po pewnym czasie ubiór szpitalny, bo mało tego mieli, ona zaś oddała moje ubranie. Żandarmeria nalatywała adres na ul. Chocimskiej nr 20, gdzie byłem zameldowany. Właścicielka, Hanka Olszewska, nie wytrzymała nerwowo tych nagabywań i uciekła do Krakowa. Po pewnym czasie, gdy się już wszystko uspokoiło, odwiedziłem jej matkę staruszkę, by odebrać rzeczy osobiste. Miałem pecha, przyjechał tam właśnie żandarm rowerem, by spytać, czy nie przyszedłem. Skoczyłem do przedpokoju, który był zamieniony na spiżarnię, odbezpieczyłem pistolet i czekałem. Jeżeli wejdzie, to jego śmierć. Staruszka powiedziała, że się nie pokazałem i że jest chora, a w tej sytuacji na taką wyglądała. Żandarm zaniechał rewizji i odjechał rowerem, który przedtem postawił obok mego. Na szczęście nie przyszło mu na myśl zapytać czyj to rower.

/-/

Wycinek z relacji Piotra /Michał Warakomski zamieszkały w USA w Chicago/ b. szefa Legalizacji:

"W styczniu 1944 r. gruchnęła wiadomość, że Bolesław wracając z Warszawy wpadł. Dowiedziałem się o tym od naszych kurierów, którzy jeździli do Warszawy, a oni mieli wiadomość od Aliny Lenartowicz z łączności.
Później dowiedziałem się o tym od Starego /Kom.Okręgu płk. Aleksander Krzyżanowski "Wilk"/, który zawiadomił mnie, że będzie próbował odbić Bolesława i chwilowo umieści go na mojej melinie /Kuźnia - wytwórnia pieczątek i blankietów - - przy ul. Piórement/, mnie zaprosił do brania udziału w tej akcji. Bolesław już był przesunięty z więzienia do szpitala Św. Jakuba, ale był pilnowany przez strażnika, któremu już więzień raz uciekł. Bolesław miał wyjść do łazienki i wyskoczyć oknem. Byliśmy pod szpitalem w sobotę, ale Bolesławowi nie udało się nawiać, byliśmy w niedzielę - również bez skutku. Strach /Edward Stefanowicz - Komendant

Szkoły Niższych Dowódców i Przerzutu Samochodowego/ doradzał wejść na salę i zabrać siłą, co wydało się niegłupim pomysłem, ale Stary /Kom.Okr./ nie chciał się zgodzić. Następne spotkanie zostało wyznaczone na poniedziałek, na godz. 5-tą rano, to znaczy jeszcze w czasie godziny policyjnej. Urządziłem się na noc u inż. Łukasiewicza, niedaleko placu Łukiskiego, ku rozpaczy jego żony. Tej nocy nie spałem do rana - w pokoju było chelernie zimno, nawet pod dobrym okryciem. Przed 5-tą ruszyłem, odprowadzony przez inżyniera, do bramy. Na miejscu był już Stary /Kom.Okr./, czekaliśmy aż się rozwidniło - na próżno. Spotkanie następne zostało wyznaczone na godz. 7 /19-tą/ wieczorem. Ja zostałem zawiadomiony przez moją pocztę o spotkaniu z kurierem, który przyjechał z Warszawy. Należało przejrzeć jego dokumenty i zaopatrzyć w nowe. Nie miałem możliwości odwołać spotkania z kurierem, ani sprawy z Bolesławem. Pozostało spróbować załatwić obydwie, ryzykując w najgorszym wypadku swoją obecność przy akcji Bolesława, gdzie i tak nie było wiadome, czy uda się. Kurier był człowiekiem mówiącym po niemiecku i przyjechał na dokumenty Iedt`a jako Niemiec. Od niego pierwszy raz dowiedziałem się, jak wyglądał zamach na Kutcherę - była to sensacja dnia. Po załatwieniu spraw z kurierem, udałem się rowerem na drugie spotkanie pod szpitalem. Dojeżdżając do umówionego miejsca zauważyłem duży ruch koło płotu. Mógł to być moment ucieczki Bolesława, albo pościg. Zdecydowałem się nie ~~xxxxx~~ pchać na najgorsze, skierowałem się w stronę ul. Mickiewicza, udając się drogą okrężną przez Zwierzyniec na moją melinę /Piórament/. Dziś myślę, że droga bezpieczniejsza byłaby przez most Zielony, choć tam stał zawsze policjant. Kiedy przyjechałem do siebie zastałem Starego i Bolesława. Stary nie był zadowolony z mojej nieobecności. Nie wiem dlaczego, nie miałem ochoty tłumaczyć, jak sprawa faktycznie przedstawiała się. Sam byłem zły, że nie udało się tych rzeczy zgrać ..... "

/-/

Wycinek z relacji Józefy Kafarskiej ps Wrzos i jej siostry Stanisławy Urtate ps Hańcza :

" W styczniu 1944 r. Bolesław wyjechał do Warszawy i w oznaczonym terminie nie wrócił. Byliśmy ogromnie zmartwieni - nie było żadnych wieści - przypuszczaliśmy wpadkę. Dostaliśmy wiadomość, że jest aresztowany i siedzi w więzieniu na Łukiszkach .....

..... W tym okresie przyszedł Szary, wyjątkowo przejęty i zrozpaczony, z wiadomością, że Bolesław jest w szpitalu św. Jakuba. Skierowany tam został z więzienia na operację wyrostka robaczkowego. Bolesław symuluje oczywiście chorobę .....

..... skierowano go niezwłocznie do szpitala. Szary prosił by natychmiast dobieść o tym Wilkowi .....

..... Szary prosił gorąco o ułatwienie ucieczki ze szpitala .....

..... ustaliłyśmy, że jedna z nas zostanie w domu, a druga, to znaczy ja, pobiegnie do znajomego księdza, kapelana tego właśnie szpitala. Księdza szczęśliwie zastałam w domu i powiedziałam, że Bolesław jest w szpitalu, prosiłam o zaniesienie mu kanapek, które ze sobą przyniosłam. Potem ja objęłam dyżur domowy, wówczas zjawił się Wilk. Złożyłam meldunek Szarego.....

..... Wilk żachnął się i powiedział: będziemy go ratować- dowództwo obejmuję ja osobiście. Czasu było niewiele - gdyż każdej chwili gestapo mogło odwołać więźnia ze szpitala. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do ucieczki. Na drugi dzień rano, za pośrednictwem kapelana, weszłam na salę szpitalną w białym płaszczu siostry szpitalnej; łóżko Bolesława było tuż przy drzwiach na korytarz, drzwi były otwarte i przy nich siedział na korytarzu pilnujący strażnik. Gdy podawałam Bolesławowi termometr zdążył mi szepnąć: "proszę o kapelusz i płaszcz, będę uciekał" - odszepnęłam: ucieczkę przygotowujemy, kieruje Wilk. Ucieczka była przygotowana na następny dzień rano w czasie godzin policyjnych. Wobec tego musiałyśmy wyjść z domu bardzo wcześnie, gdyż miałyśmy na oznaczoną godzinę przynieść Wilkowi broń

na miejsce zbiórki pod murem szpitalnym. Szłyśmy mocno podszyte strachem, bo przecie była godzina policyjna, a droga była daleka. Pokrywałyśmy więc zdenerwowanie udawaniem wesołości. Ucieczka w tym dniu jednak nie doszła do skutku. Termin został odwołany czego powodem, jak się później okazało, była niespodziewana zmiana strażnika; dyżurujący obecnie strażnik brał swoją funkcję bardzo serio, chodził za więźniem do ubikacji i zwracał baczną uwagę na zbliżające się do niego osoby. W czasie jego dyżuru nie obeszło by się bez rozlewu krwi. Do chwili ucieczki należało zatrzymać więźnia w szpitalu chociaż jeszcze na jedną dobę. Po naradzie z Wilkiem ustaliliśmy, że ja muszę to załatwić z lekarzem. Z lekarzem tym - dyrektorem szpitala - dr Markunasem zetknęłam się poprzednio kilkakrotnie kiedy operował gospodynię mego brata. Wabrałam się do niego zaopatrzona w spory pakiet ostmarek. Bez wstępów, energicznie, poprosiłam o zatrzymanie mojego narzeczonego chociaż na jedną dobę w szpitalu i położyłam pieniądze na biurku pozorując ich przeznaczenie na cele dobroczynne. Z punktu odpowiedział mi, że mój "narzeczony" jest zupełnie zdrów, ale mimo to gotów jest go jeszcze dzisiaj operować. Natychmiast odkrzyknęłam : nie śmie pan tego robić. Zaskoczony mój rozmówca zwrócił mi pieniądze i przyrzekł zatrzymać go tak długo jak mu się uda. Następnego dnia, w czasie dyżuru poprzedniego "łagodniejszego" strażnika przystąpiłam do wykonania zamierzonej ucieczki.....

..... Około godziny 18-ej przyszłyśmy na wyznaczony punkt. Ja w rękawie futra przyniosłam pistolet dla Wilka. Na umówionym miejscu zbiórki zastałyśmy już wszystkich, którzy mieli wziąć udział w akcji - brakowało tylko dowódcy. Podszedł do nas Szary i oświadczył, że z powodu nieobecności Starego /Wilka/ należy akcję zwinąć. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że to może już ostatnia szansa i że znowu będę musiała iść i błagać lekarza o przesunięcie terminu operacji - żywo zaprotestowałam mówiąc, że Wilk przewidywał możliwość małego spóźnienia i napewno

zaraz nadejdzie. Jakby na potwierdzenie moich słów wyłoniła się postać Wilka z ulicy Mickiewicza. Podszedł do nas - wymieniłam z nim pistolet na teczkę. Nasza rola, moja i siostry, była skończona. Wycofałyśmy się w stronę placu Łukiskiego. Po chwili podbiegł do nas ktoś /osoby nie pamiętam/ i powiedział, że wszystko się udało i odebrał teczkę Wilka, który wraz z Bolesławem był już w samochodzie. Jak później dowiedziałyśmy się, w teczce, którą mi Wilk powierzył były zapasy żywności i koniak przygotowane przez Wilka na powitalne przyjęcie tak cudownie uratowanego Bolesława.....

..... Teraz należało pomyśleć o jakimś dowodzie uznania dla pięknej postawy dra Narkunasa, tylko dzięki niemu ucieczkę udało się przesunąć na drugi dzień, a od tego przecie zależało powodzenie całej akcji. Postarałyśmy się przy pomocy Myszki / Helena Zielewiczowa/ o tort i koniak, co w tych czasach wcale nie było rzeczą łatwą. Posłałyśmy doktorowi paczkę, do której dołączyłam bilet ze słowami:

Najgoręcej dziękuję

szczęśliwa "narzeczona"

/ -/

Z relacji Hanki Nowickiej "Piórement" - fragment, dotyczący ucieczki:

W drugiej połowie stycznia 1944 roku, gdzieś po południu, przyszedł bardzo podniecony i niespokojny i oznajmił, że jutro lub pojutrze przyjdzie tutaj wieczorem ze swoim przyjacielem i poprosił by wtedy przygotować dobrą i gorącą kolację. Czekałyśmy więc z tą kolacją, ale Doktór nie zjawił się. Po kilku godzinach, gdy zeszłam na dół by dowiedzieć się czy nie wiedzą dlaczego Doktór nie przychodzi - - stanęłam zdumiona. Piotruś zazwyczaj tak bardzo opanowany i spokojny,, tym razem był niezmiernie podniecony, z wypiekami na twarzy nabijał rewolwery, które pakował w kieszenie i ogromnie się śpieszył. Na pytanie co się stało,

usłyszałam ostrą i krótką odpowiedź, że nic powiedzieć nie może. Wybiegł. Zaniepokoiłam się, że coś niedobrego dzieje się, ale mim wiedziałam tylko co:trzeba zachować spokój by nikt z domowników niczego się nie domyślił.
Po kilku godzinach, gdy byłam w kuchni i przygotowywałam naszą zwykłą, codzienną kolację - usłyszałam znane pukanie do drzwi wejściowych, Gdy otworzyłam, zobaczyłam Doktora, a za nim jakąś inną postać. Ponieważ czułam się trochę dotknięta niesłownością Doktora, nie przyglądając się mu im, poprosiłam by weszli do pokoju, a sama wycofałam się do kuchni. Po paru minutach dosłownie wpada Doktór bardzo ożywiony, uszczęśliwiony z buzią od ucha do ucha uśmiechniętą i nagli o kolację. Odpowiedziałam, że z kolacją czekałam prawie cały tydzień, a teraz panowie mogą poczekać. Wybiegł, ale za chwilę znowu wraca i znowu przynagla. Nie mogłam zrozumieć skąd taki pośpiech - cechowała Doktora wielka żywotność, stanowczość i energia, ale w tym wypadku najwyraźniej nie mógł opanować zniecierpliwienia. Wchodził, wychodził, był jakiś radośnie wstrząśnięty i mocno poruszony, aż w końcu nie wytrzymał i opowiedział o całej akcji porwania więźnia ze szpitala więziennego, że przebiegła na "sucho", że przez kilka dni czekali na odpowiedni moment, aż w końcu się udało i kim jest ów uratowany. Słowem, zanim ta nieszczęsna kolacja była gotowa /nie pamiętam z czego się składała/ o nowym gościu wiedziałam już wiele. W międzyczasie weszła mama mocno zażenowana z pytaniem, kto jest ten pan, który przyszedł z Doktorem gdyż tak dziwnie jest ubrany w damski szlafrok, w walonkach na bosych nogach i tak dziwnie zachowuje się, bo zaszyty w róg kanapy z niczym się nie odzywa, tylko bardzo onieśmielony lekko się uśmiecha.
Doktór promieniał, był tak szczęśliwy jakim go nigdy dotychczas nie widziałam, śmiał się, zacierał ręce i wciąż zwracał się do swego gościa. Przedstawił go nam jako Kaziuńcia, wyciągnął z teczki wino ku naszej wielkiej uciesze, lecz bohater wieczoru pić nie chciał, a po usilnych naleganiach Doktora, umoczył zaledwie usta. Kolacja długo nie trwała, gdyż Doktór oświadczył, że są bardzo zmęczeni, chcą się

położyć i za tym razem zanocuje. W "pracowni malarskiej" przygotowało się więc dwa posłania i ci tak bardzo zmęczeni przegadali całą noc.

/_/